Opłata ryczałtem. CENA 40 GR.

RACJONALISTA

MIESIĘCZNIK

ORGAN WARSZAWSKIEGO KOŁA INTELEKTUALISTÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLI WOLNEJ

ROK IV. WARSZAWA — KWIECIEŃ 1933 Nr. 4.

Myśl Wolna nie jest doktryną, jest metodą swobodnego myślenia.
F. Buisson: Deklaracja Myśli Wolnej.

TADEUSZ KOTARBIŃSKI.

Reforma szkół akademickich

Pierwszy akt dramatu pod możliwym tytułem „Akademjomachja“ ma się już ku końcowi. Treścią aktu — wprowadzenie nowej ustawy. W tej sprawie stało się już właściwie wszystko. Brak wprawdzie jednego jeszcze, nominalnie bardzo ważnego podpisu, na który obrońcy status quo ante mogliby liczyć, gdyby nie mieli jak najpoważniejszych powodów do nieliczenia nań. Potem nastąpi już tylko ogłoszenie w Dzienniku Ustaw. Kurtyna zapadnie i rozpocznie się antrakt przed następną odsłoną. W psychicznym sensie przerwa zaczęła się nawet, gdyż publiczność, nie interesując się ostatniemi scenami o charakterze automatycznym, omawia już w kuluarach przesądzony happy end — a jak chcą inni, sorry end — kończącego się aktu pierwszego. Przyłączmyż się do rozmowy, stając po stronie tych innych.

Sprawa robi w całości wrażenie ponure, a bilans jej dotychczasowy streszcza się w przewadze minusów. Mniejszość w sensie ilościowym i mniejszość w narodowościowym sensie zachowuje się tak, jak gdyby sądziła, że było źle, a po reformie będzie lepiej, jeżeli chodzi o samą strukturę prawną. Większość, przeciwnie, dotychczasowy stan rzeczy uważa za dobry, a wprowadzone zmiany potępia. Wobec takiej antytezy nie ma jednak waloru zasada wyłączonego środka. Owszem, środek

właśnie domaga się głosu i woła, że było źle, a stało się jeszcze gorzej. Lecz cóż się stało naprawdę?

W dotychczasowej ustawie o szkołach akademickich był artykuł, zabraniający usuwać profesora z katedry; wyjątek stanowić miały jedynie wypadki, kiedyby taką uchwałę powzięło Zebranie Ogólne Profesorów lub Senat Akademicki po przeprowadzeniu dochodzenia dyscyplinarnego albo postępowania honorowego. W nowej ustawie nie znajdujemy zasady nieusuwalności. Dopuszcza się natomiast usunięcie profesora przez skasowanie katedry, a wystarczy do tego decyzja Rady Ministrów, powzięta po wysłuchaniu nieobowiązującej opinji Wydziału i Senatu danej szkoły. Zamierzano jeszcze bardziej ułatwić rządowi dymisjonowanie profesorów, gdyż w koncepcji pierwotnej wcale nie było tu mowy o Radzie Ministrów: minister oświaty sam miał otrzymać prawo kasowania katedr, a eo ipso usuwania profesorów, nawet bez uprzednich pertraktacyj z wydziałami lub senatami. Wprawdzie podczas debat sejmowych broniono inowacji, twierdząc, że w istotnym punkcie inowacją nie jest. Bo niby już dotychczasowa ustawa, jeśli ją czytać wnikliwie, zawiera ponoć potrzebne ministrowi uprawnienia. Wynika to rzekomo z prawa ministra do reorganizowania wydziałów — co włącza prawo kasowania katedr, oraz z interpretacji owego artykułu gwarancyjnego. Przecie zabrania on tylko usuwać profesora z katedry, ale pozwala skasować katedrę, a potem usunąć profesora: bo to już nie będzie usunięcie z katedry, skoro samej katedry nie będzie. Ale jeżeli tak, pocóż było wszczynać całą kwestję i wkładać kij w mrowisko? Wywód nie budzi zaufania, chociaż jego zwolennicy utrzymują, że wygraliby spór o interpretację przed Trybunałem Administracyjnym. Być może. Jednak nie wygraliby go zapewne przed ławą przysięgłych, którymby polecono rozstrzygnąć sprawę bez kunsztu prawniczego, lecz wedle sumienia i zwykłego rozsądku. Rzeczywistość jest wyraźna: ograniczono jeszcze bardziej i ograniczono w ten sposób nieusuwalność profesorów, iż można będzie legalnie usuwać przeciwników partji rządzącej.

Należy się spodziewać, że śmiała ręka zatrzęsie w niedalekiej przyszłości drzewem społeczności akademickiej i że kilka co dojrzalszych gruszek potoczy się na zieloną trawkę. Takby wyglądała prognoza w stylu sielankowym. Odpowiedniejszy jednak wydaje się w tej sytuacji styl tragiczny. Oto zacisnęła się jeszcze jedna pętla na krnąbrnej szyi hydry wielogłowej a hydrą jest istota niesforna — Człowiek Niezależny. Czczony i wynoszony doniedawna za czasów Russa, byrońskich, humboldtowskich, nietzscheańskich — dziś zdewaluował się w oczach organizatorów porządku społecznego, w kraju i zagranicą. Twórca dzieł najwspanialszych, pogromca fałszywych autorytetów, wskazywacz nowych dróg, piastun godności oso-

bistej, obrońca dręczonych przed gwałcicielami — poł..czony jest ryczałtem między warchoły i za..alidrogi, gdzie tylko zatriumfowało hasło przemocy partyjnej. Sama idea wolności musi się rumienić, słysząc, za co uchodzi. Dwie tylko dopuszcza się jej antytezy: przemoc najeźdźcy i ład społeczny w kraju niezależnym. Stąd wniosek, że po likwidacji najazdu można też zlikwidować sztandar z hasłem wolności, chyba że jeszcze mógłby się przydać do obrony przed nowym najazdem... Ależ po stokroć inaczej rzeczy się mają! Obstawania przy wolności w kraju niepodległym nie można utożsamiać z warcholstwem; inaczej wszystkich patrjotów demokratów, walczących przeciw rodzimym tyranom, do tej rubryki należałoby zaliczyć i pośród warchołów znajdzie się np. Ferrer, rozstrzelany przez dawny — choć tak niedawny jeszcze — klerykalny rząd hiszpański za propagandę szkoły świeckiej. Wolność — to osiągalność, bez grozy odwetu, tego, co się mniej możnemu słusznie należy, jeśli mu stoi w drodze chęć osób możniejszych. W tem nie mieści się bynajmniej bezkarność złośliwego kaprysu, ani szkodnictwa społecznego, ani prawo do sabotażu niezbędnej współpracy. Mieści się natomiast w pojęciu wolności obrona demokracji zarówno przed ochlokracją jak przed tyranją. Bo ochlokracja jest wtedy, gdy większość robi co chce, gdy np. tłum białych linczuje bezbronnego murzyna, a tyranja jest wtedy, gdy mniejszość — a w poszczególnym przypadku jeden człowiek — nie znajduje tamy dla władczego kaprysu. Demokracja zaś jest wtedy, gdy każdy obywatel znajduje w aparacie państwowym obronę przed krzywdą społeczną zarówno ze strony brutala, jak ze strony tłumu, jak wreszcie ze strony osób ważnych. Więc i w niepodległem państwie przyda się troska o wolność i dobrze jest wychowywać ludzi tak, by umieli jej pilnować, broniąc zarówno praw bliźniego jak praw własnych. Z takich ludzi można zrobić znakomite społeczeństwo (Anglicy, Norwegowie). Ale w Europie Środkowej i Wschodniej zaczyna jakoś zwyciężać inna koncepcja. Ideałem staje się nie człowiek niezależny, lecz dzielny członek bojówki partyjnej.

Zwolennicy nowego porządku w szkołach akademickich uważają alarm za przesadzony, ponieważ: 1) ustawa nadal expressis verbis pozwala profesorowi głosić na swojej katedrze to, co uważa za właściwe, 2) niema powodu przypuszczać, by mógł powstać konflikt polityczny na tle twierdzeń naukowych, np. na tle działalności fachowej znawców anatomji patologicznej lub bakterjologji albo chemji. Żadne z tych zastrzeżeń jednak nie usuwa gilotyny, grożącej stanowiskom profesorskim. Czyż mało bowiem mamy dzisiaj emerytów wojskowych, ludzi zdrowych jak ryby, a usuniętych ze służby czynnej z powodu rzekomej niezdolności do jej pełnienia. Takie przykłady dają obraz rzeczywistości a zarazem rysują widoki możliwości. Nic

nie przeszkadza zastosować właśnie plan reorganizacji do katedry, z której rozlega się głos politycznego przeciwnika, i tę katedrę zwinąć, a jej przedstawiciela zwolnić — nie za głoszenie tego lub owego, lecz ze względów organizacyjnych. A dalej — są przedmioty i przedmioty. Matematykom, przyrodnikom, medykom i technikom nic nie zagraża z tytułu ich specjalności. Nauk niebezpiecznych należy szukać w dziedzinie prawa, historji humanistycznej, filozofji, pedagogiki i t. p. W tem miejscu uprzytomnijmy sobie okoliczność najważniejszą. Przecież profesorowie wypowiadają się nie tylko na katedrach, ale i poza ramami swej działalności akademickiej. Niezależnie od swego nauczycielskiego fachu lub też w związku z nim niejeden zabiera głos w sprawach aktualnych. Otóż ta właśnie ekspansja doznała obecnie poważnego zagrożenia. Nie przeraża to wcale tych osób, które wyznają zasadę izolacji i radeby ograniczyć działalność profesora do ścian laboratorjum i sali wykładowej. Niechajby sobie był specjalistą od danej gałęzi wiedzy i tylko tym specjalistą, a do sporów o gospodarkę i władzę wcale się nie wtrącał. Przyrodnicy naogół mają skłonność do przyjęcia takiego paktu. Socjologom i moralistom bardzo nie w smak podobna klauzura. Mierzi ona zresztą każdego osobnika o temperamencie społecznym. Taki nie potrafi wymóc na sobie, by siedzieć cicho i nie wtrącać się, gdy dokoła dzieją się sprawy porywające lub oburzające. Mniemam, że korzystną jest naogół rzeczą, jeżeli świat profesorski ma udział bezpośredni w procesach społecznych. Swobodne, nieskrępowane opinje tych ludzi, naogół bardzo wykształconych i wytrawnych, podwyższają poziom intelektualny. Między „nauką" a „życiem" kontakt staje się bliższy. Jest to przytem bardziej po republikańsku, niż jeśli nauczycielstwo miałoby tylko uczyć po szkołach, badacze — tylko ogłaszać przyczynki i syntezy, robotnicy — tylko robić przy warsztacie, rolnicy — tylko przy ziemi. Któżby wtedy regulował życie społeczne? Czy sami politycy zawodowi, dziennikarze i urzędnicy biur państwowych? W takim razie jednak — z profesorami włącznie. Ci bowiem też należą do funkcjonarjuszów państwowych. Są pracownikami w urzędzie niższej instancji, nad którym wznosi się centrala ministerstwa, urząd instancji wyższej. Nie brak osób, któreby pragnęły wysnuć z tego stosunku daleko idące konsekwencje i wogóle sprowadzić profesora do pozycji społecznej, odpowiadającej temu stosunkowi (nie imputujemy jednak tej idei osobom dziś rozstrzygającym). Atoli trudno tak zrobić na szczęście wobec pewnej odrębności zarówno osób profesorów, jak ich zadań. Mianowicie jeżeli we właściwej służbie administracyjnej zadania wyższych instancyj wymagają wyższych naogół kompetencyj od zadań instancyj niższych, a kierownicy na szczytach wchodzić muszą w meritum działań podwładnych urzędów — tu jest odwrotnie. Tu profesorowie

muszą umieć więcej od urzędników administracji ministerstwa, które winno się ograniczać do funkcyj nie zwierzchności w sprawach nauki i nauczania, lecz instytucji finansującej i stwarzającej schematy ramowe. Wyższa instancja posiada tu z natury rzeczy więcej władzy, niższa — więcej wiedzy. Drażliwy paradoks. Ale zwierzchność mogłaby ze światem profesorów dojść do stosunków zrównoważonych trwale; ci bowiem wiedzą swą zawsze gotowi są służyć, a władzy poza swemi pracowniami w olbrzymiej większości nie pragną. Wystarczy im możność pracy i wolność słowa na trybunie społecznej. Przyrodnicy dbają bardziej o pierwsze, humanistom — drugie równie jest potrzebne.

Zawód nauczycielski wogóle, a zawód badacza i nauczyciela akademickiego w szczególności, usposabia do intelektualizmu, a co za tem idzie — do indywidualizmu. Indywidualiści, którzy mają zrozumienie dla cudzego indywidualizmu, skłaniają się nieuchronnie do republiki, demokratyzmu, wolności. Otóż zawód nauczycielski jest dzisiaj pod wozem. Na wozie jedzie u nas dzisiaj konfederacja oficerów. Ci rządzą. A stan oficerski ma swoje cechy ustalone. Ceni sobie działania władcze, zbiorowe i bezpośrednio skuteczne. W dyscyplinę wierzy bardziej, niż w cokolwiek innego. Konflikt wody z ogniem. Jednakże te skrajności mogłyby się porozumieć przez apel do punktów stycznych. A są niemi: myślicielski ideał wolności i oficerski ideał honoru. Bo każda z tych sfer ma własną koncepcję godności i nadepnąć profesorowi na wolność — to tyle, co nadepnąć oficerowi na honor. Oficer godność swa pokłada w tem, by mężnie stawać wobec grozy kalectwa lub śmierci, obronić tego, kogo wziął w obronę, rozstrzygać konflikty raczej walką niż wykrętem i nie pozwalać, poza koniecznościami służby, obchodzić się z sobą w sposób lekceważący. Profesor czuje się stróżem prawdy, ma on sobie za pierwszy obowiązek postępować zgodnie z przekonaniami i nieustraszenie głosić to, co za prawdę uważa, a nigdy dla korzyści nie kłamać. Otóż nasza warstwa oficerska, ustaliwszy się w swym charakterze, zapomina, że sama powstała z kleków: nauczycielstwa, artystów, studenterji... A objąwszy rządy w cywilu, zatraca z kolei cnoty swego wojskowego stanu... Z byłych rycerzy wolności robią się władcy i administratorzy machiny państwowej, powstaje sfera wyższej biurokracji. A z nabytych w poprzednich fazach przyzwyczajeń najmniej już chyba przydaja się tej klasie owe wolnościowe elementy. Otrzasa sie z nich dojrzały biurokrata, podobnie jak człek w sile wieku otrząsa się ze wspomnień lekkomyślnych miłostek młodzieńczych. I tak oto obecni niepoprawni amatorzy wolności z byłymi bojownikami wolności dogadać się nie moga. Coraz to nowa petla zaciska się na szyi Człowieka Niezależnego. Idą na postronek posłowie, stowarzyszenia, samo-

rządy, sędziowie, nauczycielstwo, profesura... Nie trzeba być jasnowidzem, by zauważyć, że wkrótce nie starczy postronka.

Mimo tak wyraźnego zachwiania niezależności sytuacji profesorów — całość nowej ustawy o szkołach akademickich witają przychylnie oprócz rządzącego stronnictwa Żydzi i... pewne organy prasy wolnomyślicielskiej. Do Żydów trudno mieć pretensję. Znaleźli się bowiem między młotem a kowadłem. Nie doczekawszy się dość energicznej obrony przed ekscesami antysemickiemi studentów od ciał samorządowych uczelni, wolą stanąć przy boku stronnictwa rządzącego, od którego słusznie mogą się spodziewać większej energji. Ale postawa autorów artykułów wolnomyślicielskich wymaga korektury: pilnie zwiedzając zwierzyniec, nie dostrzegli słonia. W stan zaślepienia wprowadziły ich zresztą okoliczności, które i nas irytują pierwszorzędnie. Znowu ten stały fałszywy ton w akordzie, teologja uniwersytecka. Obrońcom niezależności myśli wypadło iść w jednym szeregu z tym światem. Co za zgrzyt! I trudno się dziwić, że wymownemu rzecznikowi nowej ustawy udało się tę wolnościową argumentację doprowadzić jeżeli nie do absurdu, to przynajmniej do konfuzji przez dowcipną radę, by profesorowie teologji katolickiej przedewszystkiem uzyskali wolność słowa od Rzymu, a dopiero potem pozwalali sobie pozować na jej obrońców wobec władz krajowych. Jeszcze raz uniwersytety dostały nauczkę. Może przyczyni się ona do przebudzenia z drzemki. Wielki czas, by z łona samych szkół akademickich podniosło się żądanie rozwodu z wydziałami, gdzie zasadniczo wolności nauczania być nie może. Mamy za swoje. Tylko nie trzeba się łudzić, by nowa ustawa niosła ze sobą jakąś rozwodową inicjatywę z góry. Kontrola biurokratyczna nad uniwersytetami nie ma zamiaru dotykać sutanny. Zamienną jest przecie rzeczą, że instytucje, powołane do kontrolowania kleru z punktu widzenia celów państwowych, pozostają w zawiadywaniu osób, nadających się raczej do kontrolowania zamiarów państwa z punktu widzenia kleru. Drugą okolicznością z pośród komplikujących sprawę jest stosunek wprowadzonych zmian do młodzieży akademickiej. Ludzie, których puriszkiewiczjady w uniwersytetach przejmują zrozumiałym wstrętem, myślą, że nowa ustawa pozwoli je ukrócić. Podpisany, mając w żywej pamięci sceny niezapomniane, głosowałby pierwszy za nią — mimo wszystko, co wyżej! — gdyby istotnie była potrzebna i dostateczna do przywrócenia na terenach szkół akademickich osobistego bezpieczeństwa, gdyby była czemś w rodzaju maszyny, która wszelki cios, wymierzony w twarz kolegi, przenosi na osobę napastnika... Co do tego jednak nie mamy żadnych złudzeń. Już na podstawie dotychczasowej ustawy organy bezpieczeństwa mogły były wkraczać na miejsca występku i nie pozwalać na dalszy ciąg (art. 27 upoważnia władze bezpieczeństwa do wkra-

czania na teren uczelni z własnej inicjatywy w wypadkach wyjątkowo nagłych). Nowa ustawa nie zapobiega wszczynaniu pogromów. Natomiast bez tej nowej ustawy możnaby, przy dobrej woli władz, wyposażyć zwierzchność akademicką w straż bezpieczeństwa, pozostającą pod rozkazami rektorów, podobnie jak straż sejmowa pozostaje pod rozkazami marszałków sejmu. Dlaczego ten projekt, zrodzony w kołach profesorów, nie ma widoków realizacji? Zanosi się natomiast na połączenie troski o bezpieczeństwo z łamaniem stowarzyszeń akademickich. Sprawowały się one nieraz rzeczywiście bardzo źle, nie lepiej od... sejmów i... rządów. Wymagają głębszej i skuteczniejszej kontroli. Dlaczego jednak właśnie kontroli urzędniczej? Życie akademickie i tu — jak wogóle na całym swoim froncie — domaga się głębokiej reformy. Wcale z tego jednak nie wynika, by cokolwiek miała pomóc reforma obecna. Zorganizować napływ stypendystów z szerokich warstw ludności, a przedewszystkiem z pośród naturalnej w kraju większości — ludu wiejskiego. Zrobić tak, by nie było cichych numerus clausus. Dać żyć zrzeszeniom, byleby nie naruszały praw zrzeszonych i niezrzeszonych kolegów. Zorganizować natomiast statutowy udział studentów w zarządzie szkół wyższych; niech student ma możność przez swych urzędowych reprezentantów, z pośród najstarszych kolegów, doglądać swych uprawnień: by nikt ze zwierzchności nie mógł się z nim obejść obelżywie, by student miał swój głos doradczy przy wszelkiej reformie studjów, by przestrzegano wobec studentów zapowiedzianych godzin przyjęć, egzaminów etc., by student miał służbę informacyjną tak precyzyjną, jak podróżny na kolejach żelaznych, etc., etc. Zreformować życie akademickie w tym duchu, by uczyło obowiązków wobec zbiorowości przez świadomość głębokich praw własnych, słusznych praw zwierzchności i nienaruszalnych praw kolegi. Tymczasem w projekcie nowej ustawy o prawach osób niema mowy. Art. 1 żąda, by kształcić młodzież w duchu świadomości obowiązków... o prawach nie wspomina ani słowem... Jakże to charakterystyczne dla ducha czasu...

HENRYK UŁASZYN.

Obrońcy „wolności nauki“.

1.

Z powodu nowej ustawy o szkołach akademickich klerykalna „Polonia“ katowicka (nr. 2990/33) wystąpiła z artykułem w obronie... „wolności nauki“...

Risum teneatis amici! Klerykalne pismo w obronie „wolności nauki"...

Z artykułu tego m. in. dowiedziałem się, że w nielicznej, ale „zgranej i krzykliwej" „klice profesorów wolnomyślicieli" na uniwersytetach polskich „rej wodzą profesorowie: Kotarbiński, Wałek-Czernecki, Ułaszyn, Ehrenkreutz". Dowiedziałem się też dalej, że wszyscy ci wymienieni profesorowie „należą do lóż masońskich, a specjalnością ich jest walka z religją, zwłaszcza z kościołem katolickim."

Po tych stwierdzeniach „faktów" takie oto czytamy słowa: „zachowanie się tych profesorów w obecnej chwili jest najlepszym probierzem, co warte są hasła ich głoszone o wolności badań, o niestawianiu hamulców nauce. Hasła skrajnego liberalizmu, stawiane przez masońskie wolnomyślicielstwo, obecnie w całej pełni wykazują, że są fałszem."

Oczywiście wszystko to jest obliczone na nieświadomą rzeczy publiczność i na chwałę „wolności nauki" w sferach... rzymsko-katolickich...

Przedewszystkiem, aczkolwiek — jak to zapewnia „Polonia" — jestem członkiem „zgranej i krzykliwej" „kliki profesorów wolnomyślicieli", po raz pierwszy się dowiaduje, że prof. Wałek-Czernecki oraz prof. Ehrenkreutz są wolnomyślicielami. Pierwszego nie znam nawet z widzenia i nie mam najmniejszego wyobrażenia o jego światopoglądzie. Drugiego znam osobiście, zresztą dość mało, spotykaliśmy się bowiem tylko, kilkakrotnie zaledwie, na liczniejszych przeważnie towarzyskich zebraniach; nigdy wszakże nie rozmawialiśmy na temat spraw wolnomyślicielskich — i pod tym więc względem światopogląd prof. Ehrenkreutza jest mi zupełnie obcy; wiem tylko, że podobno jest dawnym pepeesowcem. W kołach moich znajomych wolnomyślicieli jeszcze nigdy nie słyszałem nazwisk tych obu wymienionych wyżej profesorów.

Praktycznie jednak rzecz biorąc, informacja „Polonii" jest dla nas, wolnomyślicieli, — informacją cenną.

Co się tyczy mnie osobiście, to moje „rejowodzenie" sprowadza się właściwie do pisania w wolnych chwilach „wolnomyślicielskich" artykułów w niektórych, zresztą nielicznych, pismach, a przedewszystkiem w „Racjonaliście". Również na wygłaszaniu odczytów, o ile mnie o nie kto poprosi. Gdyby mnie poprosiło i jakie prawowierne rzymsko-katolickie stowarzyszenie — równieżbym nie odmówił. Nie mam bowiem zwyczaju ukrywania mych myśli przed tymi, którzy ich są ciekawi i chcą je usłyszeć. Osobiście, sam nigdy się z artykułami czy odczytami nie narzucam — z natury bowiem przemawiać publicznie nie lubię. Wolę słuchać i czytać innych.

Że posiadam od bardzo dawna, kiedy jeszcze o masonerji nie miałem właściwie żadnego pojęcia, ideologję t. zw. masońską, innemi słowy, że wyznaję i propaguję zasady wolności

myśli i sumienia, zasady humanitaryzmu i pacyfizmu, t. j. zasadę pokojowego załatwiania zatargów nie tylko między jednostkami, lecz również i między narodami wzgl. państwami — to nie ulega żadnej wątpliwości. Ale, żebym należał do którejkolwiek loży masońskiej, jak to wmawia w czytelników „Polonia“, to jest wierutnem kłamstwem. Zresztą przynależność do loży masońskiej ze względu przedewszystkiem na tradycję i rolę masonerji w rozwoju kultury ogólnej i polskiej w szczególności — uważałbym raczej za zaszczyt. Natomiast wątpię, czy ze względu na moją indywidualność i moje poglądy na wzajemny stosunek jednostki do społeczeństwa, na wartość indywiduum a grupy — nadaję się na członka tej instytucji.

Również niezgodnem jest z prawdą twierdzenie, że „specjalnością“ moją jest „walka z religją, w szczególności z kościołem katolickim.“

Przedewszystkiem proszę mi wykazać, gdzie i kiedy, na piśmie czy ustnie, występowałem przeciwko religji. A świadectwem są nie tylko moje, liczne już zresztą, artykuły, ale i wykłady uniwersyteckie, w których niejednokrotnie poruszałem i poruszam kwestje religijne, jako sprawy kulturalne i światopoglądowe.

Artykuł mój p. t. „Kościół katolicki a wolność badania i nauczania“ („Przegląd Warszawski“ z r. 1924, zesz. lipiec—sierpień, str. 173—176; też odbitka) zakończyłem temi słowy: „I jeszcze jedno podkreślić tu muszę, iż myliliby się ci, którzy po przeczytaniu niniejszych uwag moich — zechcieliby wnioskować, iż jestem tego poglądu, że religja jest przesądem, a instytucja kościoła — instytucją zbyteczną“.

I dziś ustęp ten, skreślony przed omal dziesięciu laty, podpisuję bez wahania. Przecież religja na ustach człowieka wykształconego, a nie pozbawionego klepek w głowie — to nie to samo, co rzymski katolicyzm; katolicyzm zaś to nie to samo, co Kościół katolicki, — tem mniej rzymsko-katolicki.

Nietylko też nigdy nie zwalczałem religji jako religji, lecz nie zwalczałem również nigdy Kościoła katolickiego jako takiego. Zwalczałem natomiast i zwalczam te elementy nauki i ustroju Kościoła rzymsko-katolickiego, które się nie mogą godzić z dodatniemi cechami współczesnej kultury. A więc zwalczałem i zwalczam szeregi całe nauk i praktyk zabobonnych, magicznych a nie symbolicznych; przerost formalizmu nad treścią; kazuistykę moralną, deprawującą dusze przedewszystkiem t. zw. duszpasterzy; podporządkowywanie kościołowi wszystkich przejawów życia, wtrącanie się zatem do nieswoich rzeczy; szerzenie nienawiści międzyludzkiej, międzynarodowej i międzyplemiennej, wypływającej z arbitralności i megalomanji Kościoła rzymsko-katolickiego...

Oczywiście może mnie tu kto zapytać, dlaczego nie w in-

nych wyznaniach, lecz właśnie w rzymsko-katolickiem, dopatrzyłem się tylu cech ujemnych. Rzecz dla mnie prosta: żadne z wyznań chrześcijańskich nie posiada tyle cech ujemnych i w tym stopniu co rzymski katolicyzm. Żadne też wyznanie chrześcijańskie nie jest, już od dłuższego czasu, tak uniezależnione, dzięki swej konstrukcji, od wpływów kultury i nauki, co rzymsko-katolickie; a zatem też żadne wyznanie tak ujemnie nie wpływa na poziom kultury i układ stosunków społeczno-politycznych jak rzymsko-katolickie. Pozatem żadne nie jest tak silne liczbą i to zarówno wogóle, jak w Polsce przedewszystkiem.

Ponadto - krytyka pewnych wyobrażeń i pojęć religijnych nie jest przecie obalaniem religji, lecz „prostowaniem" dróg rozwojowych ludzkości. Jeśli, jako językoznawca, krytykuję tę czy ową pracę językoznawczą, czy pewną gramatykę, wykazując nawet kompletną jej bezwartościowość czy szkodliwość — to nie unicestwiam przecie przez to ani gramatyki, ani językoznawstwa.

Ale, jeśli nie walczę z kościołem rzymsko-katolickim jako takim, lecz z jego określonemi ujemnemi cechami, to z tego znów nie wynika, abym uważał istotę katolicyzmu za coś, co góruje nad innemi wyznaniami chrześcijańskiemi, czy nawet niektóremi niechrześcijańskiemi. Faktyczne, nie teoretyczne np. wielobóstwo rzymskiego katolicyzmu stawia go niżej czystego jednobóstwa mozaizmu.

Moje nastawienie tolerancyjne w stosunku do rzymskiego katolicyzmu wynika nie z objektywnie uzasadnionego dla niego uznania (nie mam tu przeszłości na względzie, bo to sprawa inna), nie z sympatji dla niego — obca mi jest też w stosunku do niego i antypatja — lecz z uczuć sympatji, życzliwości ludzkiej dla moich bliźnich, którzy go wyznają i którzy są mu oddani.

Dla mnie nie daje on nic. Więcej, jest balastem, utrudniającym wzloty ducha w dziedziny ideałów... Jest poniekąd zaprzeczeniem słów św. Pawła: „Ducha nie gaście!" (I Tessal. V, 19).

Tyle w odpowiedzi na zaczepki natury „religijnej". A teraz w sprawie stanowiska mego co do „wolności nauki" czyli z powodu t. zw. zamachu na autonomję uniwersytecką.

Ale przedtem małe sprostowanie. Do zwolenników wspomnianego procederu zaliczony przez „Polonię" został również prof. Tadeusz Kotarbiński. Ale dość przeczytać zakończenie artykułu jego p. .t „Trzechsetlecie procesu Galileusza", wydrukowanego jeszcze w styczniowym zeszycie „Racjonalisty" (pisany więc był w grudniu roku zeszłego), aby się przekonać o fałszywości przypisywanego mu stanowiska.

Co do mnie, to moje przekonania na ten temat są aż nadto dobrze i oddawna, chyba wszystkim, znane, innemi słowy,

że stoję w obronie wolności nauki i przeciwstawiam się zakusom, obecnie aktualnym, jej ograniczenia.

Sprawa t. zw. autonomji uniwersyteckiej, nie jest sprawą w rodzaju wieszania krzyży w salach wykładowych. Jest to sprawa, godząca w zasadniczy charakter instytucji naukowej — w byt nauki. Tego rodzaju sprawy za pomocą artykułów po gazetach się nie załatwiają. Mogą one nawet sprawie zaszkodzić. W tej dziedzinie, w dziedzinie nauki, odwoływanie się do szerokich warstw ubliża godności nauki, która w warstwach tych nawet t. zw. inteligentnych, z niezbyt licznemi wyjątkami, nigdy właściwego zrozumienia nie miała. Szerokie warstwy znają tylko doraźne pożytki, wliczając w to i pewien gatunek estetycznego zadowolenia. Sprawy nauki załatwiają się innemi drogami, wolnemi od pogwarów i poszmerów tłumów. W sprawach tego rodzaju nie wypowiedzi poszczególnych jednostek mogą mieć znaczenie, lecz wypowiedzi reprezentantów określonych instytucyj naukowych.

Zabierać więc w tego rodzaju sprawach głos przedewszystkiem winni ci, co stoją na straży ustaw gwarantujących wolność nauki oraz ci, do których się oni zwrócą. Muszę tu właśnie przyznać, że taki wypadek ze mną zaszedł. W grudniu mianowicie zwrócił się do mnie rektor Uniwersytetu Poznańskiego z propozycją wypowiedzenia się publicznego w sprawie t. zw. autonomji uniwersyteckiej — „z punktu widzenia kultury ogólnoludzkiej."

Niestety, „przeżycia" moje w łonie Uniwersytetu Poznańskiego zniewoliły mnie do dania rektorowi odpowiedzi odmownej. Też same „przeżycia" pobudzają mnie do publikacji na niniejszem miejscu tego listu z drobnemi tylko opuszczeniami.

„Sądzę — pisałem dn. 6 stycznia — że wypowiedzenie się moje publiczne obecnie jest nie realne. Projekt bowiem (reformy ustawy uniwersyteckiej), który miałem omówić, już nie istnieje (zresztą nigdy go w ręku nie miałem, nikt mi go nie udzielał). Istnieje natomiast nowy, o czem dowiedziałem się z pozawczorajszych gazet. Ale, gdyby nawet zmian tych nie było, nie mógłbym się publicznie wypowiedzieć jako profesor Uniwersytetu Poznańskiego, chociażby tylko „z punktu widzenia kultury ogólnoludzkiej". Tembardziej, że propozycję do wypowiedzenia się otrzymałem „urzędowo"...

„Oto uzasadnienie mej odmowy.

„Już raz wypowiedziałem się publicznie w sprawie również bezpośrednio wiążącej się z „rozwojem kultury ogólnoludzkiej", mianowicie w sprawie zawieszania krzyży w salach Uniwersytetu Poznańskiego. Rezultat był tego rodzaju, że Senat tego Uniwersytetu wytoczył mi dyscyplinarkę.

„Zapewne Panu Rektorowi sprawa ta nie jest znana; pozwolę więc sobie tu ją bliżej wyłożyć.

„Przez trzy lata wpływało od pewnych grup młodzieży Uniwersytetu Poznańskiego, pozostających pod opieką O. O. Jezuitów, podanie do Senatu o zawieszenie krzyży w salach wykładowych. Ponieważ nigdzie w świecie cywilizowanym krzyże w Uniwersytetach nie wisiały, więc też Senat stale odpowiadał na owo podanie odmownie. Aż oto pewnej nocy majowej w roku 1926 młodzież owa podstępem zawiesiła krzyże w niektórych salach. Rektor kazał je pozdejmować, co też uczyniono. Po krótkim czasie młodzież znów wniosła podanie. Ówczesny prorektor, pozostający od czasów studenckich w pewnej zależności od Jezuitów, korzystając z nieobecności rektora (tego, który krzyże kazał zdjąć), na posiedzeniu senatu poparł gorąco podanie młodzieży i Senat uchwalił zawiesić krzyże w salach wykładowych. W ten sposób w Poznaniu właśnie, pierwszy w Polsce i świecie cywilizowanym uniwersytet państwowy — otrzymał krzyże. O tej znamiennej uchwale Senatu wyraziłem się w jednym z moich artykułów w ten sposób: „O uchwale zaś Senatu Akademickiego dnia 11 czerwca lepiej na razie nie wspominać, gdyż i owa uchwała w zespole warunków jej towarzyszących — nie przynosi honoru ani Senatowi, ani Uniwersytetowi Poznańskiemu".

„Przeciwstawiając się wieszaniu krzyży w salach Uniwersytetu, broniłem wielowiekowej tradycji uniwersytetów w całym świecie cywilizowanym; poglądem moim schodziłem się nawet z poglądami wybitnych przedstawicieli duchowieństwa rzymsko-katolickiego, że przytoczę dla przykładu tylko odpowiedź pewnego arcybiskupa rektorowi pewnego uniwersytetu (kiedy tam również, w pare lat po Poznaniu, chciała określonej kategorji młodzież zawiesić krzyże): „500 lat nie wisiały krzyże w salach wykładowych, mogą więc nie wisieć tam i teraz"... Przeciwstawiałem się więc w ten sposób też i wciskaniu się polityki do Uniwersytetu, gdyż, jak wiadomo z artykułów w prasie młodzieży, która wieszała krzyże, i następnie z incydentu z młodzieżą w Krakowie (o czem pisałem w „Racjonaliście" z r. 1932, nr. 4), że chodziło tu nie o religję, lecz o politykę...

„Za owo moje wypowiedzenie się wytoczono mi dyscyplinarkę: za krytykę uchwał Senatu Uniwersytetu Poznańskiego. Ale o krytykę projektów rządu to się zabiega... Sądzę wszakże, że jestem w takim samym stosunku, jako profesor, do Senatu uniwersyteckiego, jak, jako obywatel Państwa Polskiego, do jego Rządu. Obowiązują mnie uchwały i rozporządzenia zarówno Senatu jak Rządu, ale przysługuje mi też prawo krytyki poszczególnych uchwał i rozporządzeń i Senatu i Rządu. Kto zaś zakazuje krytyki Senatu (władze uniwersyteckie), ten,

mojem zdaniem, traci prawo domagania się doemnie krytyki Rządu...

„Oto dlaczego, jako profesor Uniwersytetu Poznańskiego, w proponowanej mi akcji udziału nie wezmę. Zresztą poglądy moje są w tej sprawie wszystkim zupełnie dobrze znane“...

Czy mógł, wobec tego co wyżej powiedziałem, prof. Wałek-Czernecki — jak to zapewnia „Polonia“ — przemawiać „w imieniu swych kolegów, profesorów-wolnomyślicieli“? Ani mógł, ani też to czynił. Przemawiał w imieniu własnem. Może profesorowie Wałek-Czernecki i Ehrenkreutz są wolnomyślicielami — nie wiem. Wiem tylko, że inni dwaj wymienieni przez „Polonię“: prof. Kotarbiński i niżej podpisany, jawnie przyznający się do wolnomyślicielstwa, równie jawnie deklarują się jako przeciwnicy już, niestety, uchwalonej przez Sejm i Senat „reformy“. I właśnie jako wolnomyśliciele.

Jakże wygląda wobec tego zdanie „Polonii“: „Hasła skrajnego liberalizmu, stawiane przez masońskie wolnomyślicielstwo, obecnie w całej pełni wykazują, że są fałszem“. Nie — fałszem jest to, co pisze „Polonia“. Fałszem jest też bezinteresowna „obrona“ wolności nauki przez katolicką „Polonię“, bo dzieje nauki, nie wyłączając XIX wieku — to na przestrzeni długiego szeregu wieków prowadzona walka nauki z Kościołem — o jej niezależność i wolność...

Wyłazi szydło z worka: interesowność. Tkwi ona przedewszystkiem w następujących zdaniach. „Projekt ustawy przewiduje, że minister może według swego uznania znosić poszczególne katedry, a nawet wydziały. Nadarza się więc najlepsza okazja do zwijania katedr niemiłych sobie profesorów, lub niemiłych wydziałów, np. **teologicznego**. Na miejsce obecnych profesorów, których olbrzymia większość sympatyzuje **ze światopoglądem chrześcijańskim i poglądami narodowemi**, wprowadzi się ateuszów i międzynarodowych obieżysasów, ludzi bez charakteru i zasad“.

Podkreśliłem wyrazy zdradzające ową interesowność i charakterystyczne zaniepokojenia. Rozumiemy o jaką to naukę chodzi „Polonii“ i jak się w jej pojęciu przestawia „wolność nauki“...

Ale o tem powiem potem.

JÓZEF LANDAU.

Doigrałem się...

Autor „Jahwy", p. Wiesław Sten, wyraźnie się na mnie rozgniewał. Jest mi to niezmiernie przykre, bo osobiście cenię zawsze wysoko wysiłki ludzkie, mające na celu wyświetlenie jakiejkolwiek „tajemnicy", choćby te wysiłki były niezbyt szczęśliwe. Przykro mi jest tembardziej, że w odpowiedzi mojej p. n. „Sine ira" (Nr. 12, 1932) uprzejmie prosiłem sz. Autora o zaniechanie wycieczek osobistych, a oświetlanie tylko „rzeczy samej w sobie", ale p. Sten, niestety, prośbie mej nie zechciał uczynić zadość i w replice swojej o wiele więcej zajmował się moją skromną osobą, niż argumentami. Nawet redakcja „Wolnomyśliciela" niezupełnie była zadowolona z „tenoru" repliki p. Stena, gdyż umieściła na wstępie swoją uwagę: „Zamieszczamy ten „artykuł polemiczny" głównie z uwagi na zawarty w nim materjał naukowy".

Zgodnie z naszą metodą polemiki — pominę milczeniem wszystkie uwagi p. Stena o mojej naiwności, nieuctwie, złej woli, chwytach polemicznych w rodzaju podrzucenia woreczka, i t. d., bo tego rodzaju „polemika" nie przynosi zaszczytu żadnej ze stron. Dla wyjaśnienia stanowiska p. Stena w sprawie „naukowości" jego badań wystarczy zacytować dwie jego uwagi. Pierwsza — to zdezawuowanie „mniemania Spinozy, jako niepopartego dowodem naukowym", (str. 235) druga — to twierdzenie, że „biblja czytana bez znajomości astralistycznej (astrologicznej) podbudowy biblijnej, jest w przeważnej swej części stekiem najoczywistszych nonsensów" (str. 237). To jest zupełnie wyraźne: ktoby sobie pozwolił zrozumieć jakiś werset, czy rozdział, czy całą księgę biblijną, jako dokument historyczny lub etnologiczny — jest poprostu nieukiem, z którym właściwie nie warto nawet polemizować.

Ale p. Sten jednak polemizuje; nie — żeby mnie przekonać, bo na to szkodaby było czasu, lecz żeby swym czytelnikom dowieść, że dla niego w biblji niema tajemnic, ani rzeczy niezrozumiałych. A te sposoby polemiczne i dowody naukowe są dość ciekawe, by o nich pomówić.

Artykuł mój „Sine ira" zakończyłem uwagą, że trzeba być ostrożnym przy wyprowadzaniu wniosków z analogij opartych na tym czy innym dźwięku, lub tem czy innem znaczeniu danego wyrazu. Wspomniałem, jak to jeden z moich znajomych wywodził pochodzenie wierzeń pierwotnych z podobieństwa brzmienia wyrazów „el" i „jel" (jodła po rosyj-

sku). Na to p. Sten zareagował 77-wierszową filipiką, w której dowiódł jak na dłoni, że i ja, i mój znajomy stoimy na bezprzykładnie niskim poziomie religjoznawstwa, (str. 230) ponieważ nie wiedzieliśmy, że Ozeasz w rozdz. X pg. ks. Michalskiego powiedział: „Jam jest jak jodła zielona“, a w rozdz. XIV pg. Cylkowa: „Ja ci będę jak cyprys zielony.“ To mnie zupełnie oszołomiło. Nie mogę się zorjentować, co ten werset z jodłą, czy cyprysem, ma wspólnego z łamańcami językowemi, na których podstawie różni badacze wyprowadzają swoje fantastyczne wnioski naukowe.

Postawiłem sz. Autorowi zarzut, że jedne i te same wyrazy bierze czasem w znaczeniu dosłownem, np. „oblicze Jahwy“, gdy mu to jest potrzebne (twarz księżyca), a czasem w przenośni, np. „oblicze Mojżesza“, lub „oblicze wód“, gdy dosłowne tłumaczenie dla jego tezy jest niewygodne. Dla poparcia mego przykładu przytoczyłem bez podania źródła zdanie „posyłaj chleb twój na oblicze wód“, gdyż zdawało mi się, że ten werset z Ecclesiasty jest tak ogólnie znany, że tu nie może być nieporozumienia. I na ten zarzut, zamiast odpowiedzi, otrzymałem 120-wierszową rozprawkę o mojej nienaukowości, nieprzyzwoitości, niekulturalności i t. d., i wreszcie wyjaśnienie, że w wersecie tym „chleb oznacza księżyc, jako chleb kosmiczny, puszczany na nowiu na wody niebios. Po upływie wielu dni, to jest po 28 dniach księżycowej lunacji i po 3 dniach konjunkcji księżyca z słońcem, podczas których chleb kosmiczny ginie, chleb ten odnajduje się znów na nowiu i znów posyła go się na wody niebios i tak w nieskończoność“ Coprawda, p. Sten przytacza także interpretację tego wersetu przez Cylkowa, który wyjaśnia, że to jest zachęta do pomagania innym, którzy może kiedyś odwdzięczą się dającemu; lub też zachęta do śmiałych przedsięwzięć handlowych. Ale p. Sten krótko i węzłowato oświadcza, że jak jedna, tak i druga interpretacja jest „oczywistem głupstwem“. (str. 274).

Poproszę łaskawych czytelników o odczytanie rozdziału XI Kaznodziei Salomonowego, bo szkoda mi czasu i miejsca na zacytowanie go. I proszę osądzić, czy w związku z całością tego rozdziału, oraz z całością treści Ecclesiasty, bardziej logiczna będzie interpretacja p. Cylkowa, czy p. Stena? Mojem zdaniem, trzeba się bardzo fanatycznie ustosunkować do swego punktu wyjścia, by tak śmiało i z taką pewnością siebie nazywać odmienny pogląd, o wiele zresztą jaśniejszy i logiczniejszy, oczywistem głupstwem. A wszakże p. Sten zarzuca mi mijanie się z prawdą, gdy określam jego założenie, jako aprioristyczne (str. 272). Czyż można je nazwać inaczej?

Tosamo tyczyć się będzie i obrazu Jeremjasza lub Izajasza „o gniewie Jahwy wyciskającego krew w prasie swej zemsty“. Pan Sten jest bezwzględnie pewny, że tu jest mowa o

Jahwie jako księżycu czerwonym przy wschodzeniu na pełni, lub też o Jahwie — jako gwiazdozbiorze Bootesa. Dostało mi się przy tej sposobności kilka soczystych wyzwisk, ponieważ nie zrozumiałem, że „dopiero interpretacja tego obrazu, względnie jego przesłanek kosmicznych, jest dopiero ezoteryczną przenośnią.“ (str. 275). Bo p. Sten wie z całą pewnością, bez najmniejszej wątpliwości, bez żadnych wahań, że kto nie komentuje biblji z punktu widzenia wyłącznie astrologicznego, ten jest nieukiem, naiwnym i t. d. Ale od zarzutu apriorizmu odżegnywa się z oburzeniem.

Żeby zakończyć tę polemikę, którą napięcie temperamentu i fanatyzmu sz. Autora „Jahwy“ pozbawiło zupełnie cech nawet względnego objektywizmu, bez którego żadne poważne rozważanie nie wydaje mi się możliwe, oświadczam, co następuje:

1) Dowody, stawiane przez p. Stena w obronie swej tezy, nie są dość przekonywające, i opierają się zbyt często na „dociąganiu“ pewnych wersetów do swoich apriorystycznych założeń.

2) Domysły p Stena co do pewności i autentyczności źródeł, z których wywodzi swoje wnioski, nie są poparte dość jasnemi dowodami, nie przewyższają więc poziomem swoim zwykłej dyletanckiej dowolności.

3) Obrzucanie przeciwnika obelgami i stawianie siebie na niedosiężnym piedestale „jedynie naukowego badania“, — nie dowodzi słuszności bronionej tezy, a wnosi niepożądany pierwiastek rozdrażnienia.

Wobec tego uważam dalszą polemikę w tej sprawie z p. Stenem za bezcelową.

PRENUMERATA „RACJONALISTY"

rocznie	zł. 4.—	zagranicą dol. 1.—	rocznie
kwartalnie	„ 1.—	numer pojedyńczy 40 gr.	

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ul. Poznańska 14 m. 19, tel. 9 26-55. P.K.O. 13214

Redaktor i Wydawca — Józef Landau

Skład: „Zjednoczeni Drukarze" Elektoralna 15. Druk. „Helikon" Elekt. 25